

Ziemia Obiecująca

W czarnej otchłani, nad którą unosił się mój samolot, nagle rozświetlił się widok miasta, które miało stać się moim nowym domem. Rozległe morze intensywnie żółtego światła, pulsowało niczym płomienny żar w rozwartej paszczy pieca hutniczego. Oszalającą, rozpasaną, nie oszczędzającą kilowatów iluminacją, witało mnie Chicago w Sylwestrowy wieczór 1985 roku.

To był najdłuższy Sylwester w moim życiu. W międzykontynentalnej pogoni za mijającym dniem, po dziewięciu godzinach od startu z Warszawy, samolot LOT-u, jeszcze za dnia, przyleciał do Montrealu w Kanadzie. Wylądowaliśmy chyba na peryferiach lotniska Mirabel, bo wyglądało jakby w kartoflisku. Ale już wkrótce, zdezorientowaną grupę polskich przybyszy ogarnął zgiełk wielkiego terminalu. Nikt z nas nie mówił po angielsku, a mój nikły zasób pojedynczych słów był mi zupełnie nieprzydatny. Jakoś do nas dotarło, że nasze bagaże zostały wygrużone na karuzelę, gdyż odprawa celna na tym właśnie lotnisku się odbywała. Byłam zmęczona i spragniona. Odstraszały mnie jednak automaty z napojami, wynalazki u nas jeszcze nie znane. Zresztą nie miałam bilonu i nie wiedziałam, jak rozmienić moje przydziałowe 10 dolarów – w owym czasie komunistyczny limit na wywóz waluty z kraju. Szczęściem, dodatkowo miałam w bucie nielegalne 40 dolarów. Okazało się bowiem, że za cenę 12 dolarów musieliśmy przejechać autobusem wahadłowym na lotnisko Trudeau, skąd był odlot do Chicago liniami American Airlines.

W szarości zachodzącego dnia, w pustce otaczającej autostradę, nagle uświadomiłam sobie, że widziane z autobusu drogi, wiadukty, a nawet betonowe słupy latarń, wyglądały dokładnie tak samo jak na Giszowcu w Katowicach – déjà vue tak silne, że przez chwilę zwątpiłam w realność całej mojej wyprawy.

Rozgorączkowana grupa z LOT-u galopowała przez Trudeau niekończącym się, pustym korytarzem. Do planowanego odlotu było tylko kilka minut. W tropikalnej temperaturze, w rozchełstanim pikowanym płaszczu i przekrzywionej futrzanej czapie, ledwo nadążałam, ciągnąc „dorobek swojego życia” w dwóch ogromnych walizach, z których jedna puszczała w suwaku. Wózków bagażowych nie było w zasięgu.

Wreszcie dopadliśmy stanowiska z napisem Chicago. Oblegliśmy je, wymachując biletami i jazgocząc egzotycznie. Prerażona pani wezwała koleżkę, który za pomocą ad hoc pantomimy wytłumaczył nam, że musimy pędzić dalej. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że z Montrealu do Chicago może być kilka połączeń, różnymi liniami, i że stanowisk z napisem Chicago może być więcej – w końcu przybyliśmy z Okęcia, gdzie jedyny barak miał jedyne wyjście na chyba jedyny pas startowy.

Zdenerwowani, zziązani, zbici w kupę jak stado baranów, dobiliśmy w końcu do właściwej bramki AA, przez którą równocześnie przepuszczano pasażerów do dwóch różnych samolotów. Ignorując pana za kontuarem i roztrącając zaskoczonych ludzi w kolejce, czoło naszej grupy rzuciło się do rozsuwanych drzwi, wzniesając zamieszanie i dziki rejwach, oraz budząc we mnie wielką niechęć do uczestnictwa w tym zgromadzeniu.

To tam, na Trudeau, po raz pierwszy spotkałam się z amerykańskim poczuciem humoru i postawą „na luzie”. W nagłym rozjaśnieniu lingwistycznym, zrozumiałam większość wypowiedzi przedstawiciela American Airlines, który z pomocą mikrofonu przebił się przez słowiański zgiełk. Flegmatycznie i z uśmiechem zaapelował do swoich rodaków, aby niecierpliwym przybyszom ze Wschodu zeszedli z drogi do wymarzonej Ameryki,

dzięki czemu sami unikną stratowania. Z lekkim rechem, cała kolejka cofnęła się grzecznie i nasza grupa została odprawiona w pierwszej kolejności.

W miarę zniżania się Boeinga 727, w płonącym kręgu miasta zaczęłam wyróżniać świetliste linie ulic, reklamy, napisy. Światła, orgia światel, oślepiająca świetlistość! Widok wręcz szokujący dla niebywalej w świecie rezydentki „przedmurza cywilizacji”, gdzie nawet wielkie miasta, nocą zawsze były szare. Potem jeszcze lotnisko O'Hare; jego ogrom, wspaniałość i blask. A w końcu sylwestrowy bal do rana; muzyka, taniec, wódka i nocne Polaków rozmowy, w domu moich przyjaciół z Tarnowa, którzy byli jedynym ogniwem pomiędzy całym moim dotychczasowym życiem, a niewiadomym jutrem.

Nigdy nie miałam w sobie ducha nieustraszonych poszukiwaczy przygód. I nawet nie mogę powiedzieć, żeby mnie wyganiała na antypody głęboka niechęć do komuny oraz niewiara w możliwość przetrwania tego systemu. Moim prawdziwym powodem do opuszczenia Polski był brak mieszkania i brak perspektywy na jego uzyskanie.

Wydawało mi się, że byłam przygotowana na Amerykę. Czytałam Steinbecka, Baldwina, Hemingwaya, Kazana, a także Karola Maya, który rozpałał nasze dziecięce wyobraźnię, a o którym tutaj nikt nie słyszał. Znałam ten kraj z mapy. Byłam osłuchana z muzyką Rock and Roll oraz Rythm and Blues. Widziałam wiele amerykańskich filmów i uwielbiałam melodyjnie modulowany dźwięk języka, w którym znałam zaledwie kilkadziesiąt słów. *Wydawało mi się*, że byłam przygotowana, ale kiedy znalazłam się w otoczeniu tak odmiennym od dotychczasowego, poczułam się jakbym wylądowała na planecie Mars, pozbawiona kombinezonu kosmicznego.

Moja pierwsza praca, to był szok w formie ciągłej, bezterminowej. Milionerska rezydencja mieściła się w bogatym miasteczku na północ od Chicago. Posiadała rozmiary domu kultury średniej wielkości. Na dwóch piętrach zawierała 15 pokoi, 7 łazienek oraz dwa ogromne halle połączone kręconymi schodami. Świeżo wybudowana w stylu francuskiego prowincjalizmu, była siedzibą czteroosobowej rodziny.

Mój pierwszy amerykański „tytuł służbowy” brzmiał *housekeeper*, z okazjonalnymi obowiązkami *baby-sitter*. Praca była „z zamieszkaniami”, na 5 dni w tygodniu. Miałam dla siebie duży pokój z błyszczącą łazienką oraz z szafą w ścianie. W pokoju było wąskie łóżko, komoda, fotel i mały telewizor. Używałam wyłącznie wanny i łóżka, bo padałam ze zmęczenia.

W poprzednim życiu, zwykłe ogarnięcie jednopokojowego mieszkania zajmowało mi cały dzień; nagle zwały się na mnie dosłownie hektary powierzchni do codziennego sprzątania i odkurzania. A także pranie: codziennie sterta. Pracowałam po 10 godzin dziennie, z przerwą na lunch. Bolały mnie wszystkie kości i mięśnie, odpadały mi stopy. Dziesiątki razy biegałam po schodach tam i spowrotem, a to po szczotkę a to po odkurzaczy, zanim wreszcie odkryłam zalety organizacji pracy domowej.

Do moich obowiązków należało też prasowanie, która to czynność doprowadziła do straszliwego *qui pro quo*: używając gestykulacji i odruchowo posiłkując się polskim słowem (bo *crease* nie było mi znane) - zapytałam, czy pani życzy sobie mieć jeansy prasowane na okrągło, czy na KANT, nie mając pojęcia, że tak brzmi wymowa słowa *c--t*! Dziki popłoch w oczach mojej pracodawczyni zrozumiałam dużo później, kiedy zaczęłam się zapoznawać z angielskimi „brzydkimi słowami”.

Pracodawcy byli grzeczni, z dystansem. Oboje wiekowo oscylowali wokół 40-tki, przystojni, dobrze ubrani. Pan domu, lekarz, wychodził o świcie i wracał po zmroku. Pani domu wychodziła koło 10-tej i wracała po 16-tej. Kiedyś pan wpadł do domu w ciągu dnia i zapytał o żonę. Odpowiedziałam naiwnie, że w pracy; on osłupiał a potem wybuchnął śmiechem.

Z czasem dokonałam odkrycia, że im większe i wspanialsze domy mają bogaci Amerykanie, tym

mniej w nich przebywają. Mężowie namiętnie pracują. A panie domu, znudzone brakiem zajęć i wprost udręczone obecnością dzieci, dzielnie podejmują się wielkiej misji: wydawania męzowskich dochodów. Rutynowo spędzają więc całe dni poza domem; w restauracjach, eleganckich sklepach, lub udzielając się charytatywnie. Gra w golfa również zajmuje wysoką pozycję na liście zajęć do walki z nudą.

Jednak najwyraźniej, niewyczerpywalne miliony szczęścia nie gwarantują, bo pani sprzątej przeze mnie rezydencji, dostawała czasem nocnych napadów wrzasku, a po jednym z nich, była 2 tygodnie w zakładzie zamkniętym...

Ogrom milionerskiego domu był przytłaczający. Umeblowanie przepastnie wielkich pokoi było bogate, ale przeważnie bardzo nie w moim guście. W formalnym pokoju stołowym na parterze, biedermeierowski kredens oflankowany był chińskimi parawanami, ciężki dębowy stół otaczały wiklinowe krzesła, a pozostała zbieranina mebli i bibelotów sprawiała wrażenie przeładowanego antykwariatu.

W pokoju dziennym na górze, na bajecznie kolorowym „persie”, stała aksamitna sofa w wielobarwne pasy, a obok wielki fotel, cały w różyczki. Myślałam, że to chwilowe niefortunne zestawienie, ale dekoratorka wewnątrz doniosła jeszcze tylko dwa obrazy art-deco, aby uwiecznić swoje dzieło.

Każdy z członków rodziny przebywał w innej części domu, przeważnie samotnie. Każde dziecko miało swój pokój, o powierzchni ok. 30 m², z prywatną łazienką. Kwatera rodziców zawierała 4 pokoje i zajmowała pół piętra, a sama łazienka, ze wszystkimi bajerami i z wielkim oknem na jezioro Michigan, miała powierzchnię polskiego M-2.

Zadziwił mnie prawie kompletny brak kontaktów w tej rodzinie. Czasem całodzienna konwersacja między matką a córką zawierała się w ustaleniu jadłospisu obiadowego: „Chicken?” - „No chicken”, więc matka robiła n.p. hamburgery. Mrożone, już uformowane; przyrządzenie „obiadu” zajmowało jej 15 min.

8-letnia Colette, nad wiek wysoka, poważna i małomówna, była zabierana i przywożona pod dom przez autobus szkolny. Jej 4,5-letni brat David był przez matkę dowożony do przedszkola 2 razy w tygodniu, na 3 godziny, żeby się socjalizował. Resztę czasu spędzał w domu, ale przez większość dnia jakby go nie było, bo z powodu „nadmiernej” aktywności, dostawał co rano dawkę uspokajającego leku, więc się snuł jak śnięta ryba.

Colette, po powrocie ze szkoły, mówiła powitalne „Hi” i szła do swojego pokoju, gdzie spędzała resztę dnia oglądając TV lub wyciągając liczne zabawki. Była już przyzwyczajona do kompletnej izolacji.

Davidek był bardziej kontaktowy. Po kilku godzinach, kiedy słabło działanie Retalinu, to dziecko, naprawdę inteligentne, odyskiwało pełnię władz umysłowych. Wtedy - pomiędzy moimi licznymi obowiązkami domowymi - uczyło mnie języka oraz wymowy, cierpliwie powtarzając każdy dźwięk, aż wymówiłam prawidłowo.

Na swoje nieszczęście, chłopiec był jeszcze w wieku, kiedy dziecko bardzo potrzebuje matki. Po południu, kiedy dochodził do siebie, zaczynał poszukiwania rodzicielki po całym domu. A kiedy ją wreszcie znalazł, to lgnął do niej, starał się przytulać - bez żadnej reakcji z jej strony.

Pani, kiedy była w domu, to na ogół siedziała u siebie, często zamknięta na klucz i wychodziła dopiero pod wieczór, aby dla dzieci i dla mnie zrobić jakiś szybki obiad, albo zamówić pizzę z dostawą. Państwo przeważnie jadali w restauracjach, raczej późno, bo pan domu nigdy nie wracał przed 18-tą.

Za każdym razem, kiedy rodzice wychodzili wieczorem z domu, David urządzał scenę wieszania się na matce. Płakał, błagał żeby go nie zostawiała, czepiał się jej nóg, darł jej rajstopy i smarkał na jej piękne futra. Pani przeczekiwała te napady, stojąc bez ruchu. Kiedy dziecko osłabło od krzyków, to szła na górę, przebierała podarte rajstopy lub spaprane spodnie i spokojnie wychodziła do garażu, gdzie mąż już czekał w BMW.

Kiedyś David był wyjątkowo agresywny i pani kazała mi go przytrzymać. Jej udało się wymknąć bez szwanku, ale mnie rozżłoszczony chłopak kopnął w gołeń i dalej rzucał się jak dzikie

zwierzę. Wzięłam go pod moją pachę tak, że ani kopnąć ani ugryźć mnie nie mógł. Zaniósłam go do jego sypialni, zapowiedziałam że nie wyjdzie, aż się uspokoi i stałam na zewnątrz, przytrzymując klamkę. Colette bez słowa obserwowała rozwój sytuacji.

David, w szleńczej furii, rzucał w drzwi wszystkimi zabawkami, które wypełniały dwie wielkie szafy ściennie. Szarpał za klamkę, wył, wrzeszczał żeby go wypuścić. Kiedy się w końcu uspokoił, wyszedł jak baranek i poprosił o sok. Nie wyrywał się, kiedy wzięłam go za rękę i wytarłam mu buzię. Dałam mu pić i pogłaskałam go po głowie. Od tego czasu Davidek chodził za mną jak pies i powtarzał: „Ella, I love you”. Po prostu potrzebował kogoś, kto by na niego zwrócił uwagę i kogo by mógł słuchać.

Nie wiem, czy to moja komitywa z zaniedbanym przez rodziców dzieckiem, była powodem wypowiedzenia mi pracy w parę tygodni później. Nie podano mi motywów, a ja się nie dopytywałam. Po trzech miesiącach harówki, z ulgą opuszczałam ten nienormalny dom, w którym praca była dla mnie stanowczo za ciężka. Ale też z ciężkim sercem wysłuchiwałam zawodzenia dziecka w samochodzie, którym mnie pani odwoziła do pociągu. Davidek błagał mnie, żebym została i pytał matkę, dlaczego go opuszczam. Nie dostał żadnej odpowiedzi.

Nieopisaną męczarnią psychiczną jest konieczność bezustannego przebywania w obcym domu, bez możliwości powrotu do własnego łóżka, choćby najnudniejsze było. Dopiero w Ameryce zrozumiałam okrucieństwo kary więzienia, która wcześniej wydawała mi się nienajgorszym układem, jako że wypaść się można, jest dostęp do książek i gotować nie trzeba. W tych pracach „na domku” czułam się kompletnie pozbawiona osobowości, niezdolna do aktywizacji własnych szarych komórek, zmartwiała emocjonalnie i zredukowana do funkcji tępego robota. Pięć dni w każdym tygodniu, miałam całkowicie wymazane z życiorysu. Jak tylko przyjechałam, powiedziano mi: „będziesz, jak wszyscy, płakać co noc w poduszkę”. Ale nie płakałam. Do czasu, aż przyszedł pierwszy list od mojej siostry: „Eluś, jak sobie radzisz?” – pisała. „Jak znosisz niemotę, pozbawiona odbiorców swoich ‘barwnych opowieści’ w tym obcojęzycznym świecie. Czy masz wokół siebie ludzi, którzy rozumieją krzyk twojej duszy?” O! jakże byłam samotna w tym obcojęzycznym świecie!

Przez moje pierwsze dwa miesiące w Ameryce, Stenia lub jej mąż przyjeżdżali po mnie w piątek wieczorem. Już pół godziny wcześniej stałam w oknie mojego wspaniałego domu niewoli, w pełni ubrana do wyjścia, drżąc z niecierpliwości. Serce mi przyspieszało na widok każdego nadjeżdżającego samochodu i wpadałam w rozpacz kiedy auto jechało dalej. Wreszcie któreś kolejne reflektory omiały podjazd. Szaleńczo migałam światłem w swoim pokoju i łamałam nogi po schodach. Nie sądzę, by dorównywała mojej - euforia skazańca, uwalnianego po 30 latach kazamatów.

W czasie weekendów ledwo dochodziłam do siebie. Przesiadywałam u Steni, która prowadziła tawernę i nie miała czasu na rozjazdy turystyczne. Czasem jechałyśmy na zakupy. Nawykła do pustych półek w Polsce, czułam się przytłoczona namolną podażą towarów. Na samotne zwiedzanie Ameryki nie miałam ani odwagi ani siły.

Jeszcze kilka kolejnych, szaleńczych prac, ulegało gwałtownemu zakończeniu po około 3 miesiącach – widocznie taki był limit mojej odporności psychicznej. Ale powoli wrastałam w moją nową rzeczywistość. Poszłam na kursy angielskiego. Oswajałam się z Chicago i z Ameryką. Zmieniałam prace na lepsze.

Teraz, po latach, zupełnie inaczej widzę ten kraj, w którym początki były dla mnie tak trudne. Bo Ameryka mnie przygarnęła, dała mi możliwość pracy i życia, podczas kiedy moja własna ojczyzna nie mogła mi zapewnić normalnej egzystencji. I za to kocham Amerykę, ten wielki, wspaniały, wolny kraj – ziemię, gdzie obietnice i nadzieje mogą być spełnione.

KONIEC.